POWIEŚĆ i NOWELA

ROK XXI WARSZAWA, DNIA 20 KWIETNIA 1929 ROKU NR. 16

V. WILLIAMS.

TRÓJKA TREFL

4)

— Niech się pan zgłosi do kasyna Narodowego, jest to najwytworniejszy klub w Budapeszcie, i niech pan tam odszuka hrabiego Hektora Aranyi. Czarujący mężczyzna, sportowiec i mój przyjaciel, ...był nim, przynajmniej, przed wojną. Posiada piękne lasy, pomiędzy Budapesztem a nową granicą czecho-słowacką. Znajduje się tam wspaniały park i pałac. Będziemy przejeżdżać przez jego posiadłość. Niech się pan nie zapomni mu przedstawić.

— Nie omieszkam — odrzekł Klaudjusz.

Nastąpiła chwila milczenia, poczem Lorne podjął rozmowę.

— Wracając do Godfreya Cairsdale, jak się pan zapatruje na jego zniknięcie? Sądzi pan, że miał jakieś przykrości?

— Co pan rozumie przez to?

— Czek bez pokrycia, trudności materjalne, czy coś w tym rodzaju?

Mac Tavish roześmiał się szczerze.

— Nie, coś podobnego nie mogłoby się zdarzyć Godfreyowi. Słuchaj Klaudjuszu, wstępuje pan na drogę dyplomatyczną. Dam panu radę, którą udzielił kiedyś pewien staruszek mojemu ojcu. W dyplomacji (a był ambasadorem, trzydzieści lat z okładem) nie należy zadawać żadnych pytań, o ile nie ma się pewności, że otrzyma się na nie — odpowiedź! A teraz dobrej nocy życzę panu.

I kurjer dyplomatyczny zaczął ściągać marynarkę. Klaudjusz Lorne, nieco zmieszany tą nauczką, milczał przez chwilę. Następnie odezwał się przyciszonym głosem.

— Bo, widzi pan, rzecz się tak przedstawia: Przyrzekłem pannie Fitz-Gerald dowiedzieć się o Godfreya. Co mam jej napisać?

— Że jest na polowaniu — odparł Tavish, śmiejąc się oschle.

Był najwidoczniej rad ze swego powiedzenia, gdyż powtórzył kilkakrotnie: jest na polowaniu.

Klaudjusz otwierał usta, ażeby coś powiedzieć, gdy rozległo się dyskretne pukanie do drzwi. Mac Tavish odwrócił się gwałtownie.

— Co to znaczy? — zapytał, spoglądając na zegarek — przecież mamy sporo czasu do granicy.

Klaudjusz przerwał:

— Zapomniałem pana uprzedzić. To Vali!

— Co za szczęście — odezwał się ironicznie Mac Tavish — ale kto to.

— Młoda osoba, którą poznałem w Wenecji przed dwoma miesiącami. Spotkałem ją w Wiedniu na dworcu i zaprosiłem na kieliszek szampana. Jedzie do Węgier. Idealna towarzyszka podróży, i napewno spodoba się panu.

Lecz zanim Euan Mac Tavish zdążył wyrazić swoją niechęć, czy zadowolenie, otworzyły się drzwi, bezszelestnie i na progu w cieniu nawpół zasłoniętej lampy ukazała się szczupła, wysoka młoda osoba.

Oczy i włosy miała czarne, jak noc; małe czerwone usteczka uśmiechały się radośnie. Nosiła ciężkie, futrzane okrycie, zarzucone niedbale na ramiona.

— Vali — zawołał wesoło Klaudjusz, ujmując ją za rękę i wciągając do przedziału.

Chciał zamknąć drzwi za nią, lecz wstrzymała go rozkazującym ruchem.

— To nie jest, jak wy to mówicie? właściwe, ażeby młoda kobieta była zamknięta o tak późnej godzinie z dwoma mężczyznami. Lecz nie mogłam pana znaleść, panie Klaudjuszu. Zostanę minutkę, a przyszłam tylko dlatego, że przyrzekłam.

Mówiła biegle po angielsku, przeciągając zlekka, jak Wiedenki.

— Euanie — rzekł Lorne — pozwól, że cię przedstawię baronowej Vali von Griesbach.

Młoda kobieta wyciągnęła rękę, ruchem pełnym wdzięku. Cechowała ją prostota i godność.

— Mam nadzieję, że nie przeszkodziłam panu mojemi odwiedzinami — zwróciła się do Mac Tavisha.

— Przeciwnie, jestem zachwycony. Zechce pani baronowa napić się whisky? Nie posiadamy, niestety, innych napojów.

Młoda kobieta odmówiła. Mac Tavish podsunął papierośnicę.

— Chętnie zapalę — rzekła.

— Musi pani usiąść na moich kolanach, Frau Baromin — zawołał Klaudjusz — gdyż niema miejsca.

— Usiądę obok pańskiego przyjaciela — odrzekła spokojnie.

Mac Tavish położył na podłodze kilka zapieczętowanych worków. Chcąc mu przyjść z pomocą, Valy położyła rękę na zniszczonej, skórzanej walizie, znajdującej się na posłaniu, obok Mac Tavisha.

— Pani wybaczy — rzekł łagodnym lecz stanowczym tonem kurjer dyplomatyczny, odsuwając jej rękę — zatrzymam tę walizę przy sobie.

I podczas, gdy młoda kobieta siadała, przeniósł walizę na drugą stronę posłania.

— Będzie pani miała więcej miejsca.

Vali, która się przyglądała workom, klasnęła w ręce i zawołała.

— Ależ pan jest wysłannikiem rządu! Prawda? Jak „Feldjäger", który był gońcem naszego króla?

— Mniej więcej, pani baronowo — odpowiedział Euan.

Zwróciła się do Klaudjusza.

— Nazywa mnie pan zawsze „Frau Baronin", lecz pański przyjaciel lepiej się orjentuje co do mojej osoby. Powiedział do mnie pani baronowo.

Mac Tavish roześmiał się swoim krótkim, urywanym śmiechem.

— Poznałem po pani cerze, że jest pani Węgierką, a powiedzenie „nasz król" utrwaliło mnie w tem przekonaniu.

— Tak, jestem Węgierką! — zawołała z odcieniem dumy.

— Doprawdy? — zdziwił się Klaudjusz — a ja sądziłem, że pani jest Wiedenką.

— O, nie! — zaprzeczyła gorąco. — Jestem Madziarką.

Mówiąc to, uderzyła się w pierś ruchem majestatycznym, lecz pozbawionym pozy teatralnej.

— Jestem Madziarką, — powtórzyła — Madziarką, aż do szpiku kości.

Gdy unosiła rękę, odchylił się szeroki rękaw bluzki, odsłaniając białe toczone ramię; nad jej napięstkiem ukazała się dosyć wielka podłużna blizna.

Drżąc zlekka, jakgdyby zaczynał ją przenikać chłód nocy, otuliła się w palto i wstała.

— Już odchodzę — rzekła. — Panie Klaudjuszu, gdy będę w Budapeszcie...

— Czy nie jedzie pani do Budapesztu? — zapytał młody mężczyzna.

— Nie, teraz nie jadę. Wybieram się do moich przyjaciół, mieszkających w pobliżu Haczu, i niebawem opuszczę pociąg; wysiadam w Szob, tuż obok granicy. Brrr! Co za noc na spacer powozem! Gdy będę w Budapeszcie, dam panu znać o sobie do waszego poselstwa.

— Doskonale — zawołał Klaudjusz, — pójdziemy razem na kolację do „Hungarji" i posłuchamy słynnych cyganów.

Wyciągnęła rękę do Mac Tavisha.

— Dobrej nocy życzę panu — rzekła, zatrzymując wzrok na jego pooranej twarzy — szczęśliwej podróży.

Roześmiała się cicho i wzruszyła lekko ramionami, poczem skierowała się do drzwi. Z pomiędzy purpurowych, nieco odemkniętych warg, wysuwał się rząd białych równych, ostrych zębów. Jej giętkie ruchy przywodziły na myśl panterę.

Klaudjusz odprowadził Vali na pusty korytarz.

— Niech się pan nie trudzi — rzekła — mój przedział jest bardzo blisko, to ten ostatni w tym wagonie.

Towarzyszył jej do drzwi. Vali odwróciła się, wyciągając dłoń. Ręka była miękka i gorąca. Młody mężczyzna zadrżał od zetknięcia z tą jedwabną skórą. Starał się przyciągnąć ją do siebie, lecz wolną ręką odchyliła drzwi i wsunęła się do swojego przedziału, śmiejąc się dźwięcznie. Zatrzasnęła zamek i Klaudjusz został przed zamkniętemi drzwiami.

— Przekleństwo! — mruknął.

Zawrócił i wszedł do swojego przedziału.

— Ten wagon jest zimny, jak serce lichwiarza — rozległ się głos z górnego posłania. — Panie Klaudjuszu, niech pan zamknie drzwi.

Euan Mac Tavish był już zawinięty w kołdrę. Klaudjusz usiadł na brzegu łóżka i zaczął rozsznurowywać obuwie.

— Jak się panu podoba Vali, panie Euanie? — zapytał.

— Właśnie myślałem o niej. Mam wrażenie, iż nie należy do średniej sfery Węgierek. Wszystkie są ładne i zręczne, lecz ta posiada pewną wyniosłość i, jak się to mówi, rasę. Gdzie pan ją poznał?

— W Wiedniu?

— Czem się zajmuje?

— Niczem. Podróżuje.

— Jest zamężna?

— Nie wiem.

— Dziwne — rzekł Mac Tavish, ziewając — ale wydaje mi się, że widziałem ją już przedtem. Owszem, niech pan przyćmi światło.

Nastąpiło milczenie. Przedział pogrążył się w niebieskawym półcieniu. Nikłe światło padało na dwuch śpiących mężczyzn, walizy i worki.

Trzęsąc się i kołysząc, Orient Express pędził w głuchą noc.

IV.

KILOMETR 224.

Klaudjusz przebudził się gwałtownie z niewyraźnem uczuciem, iż stało się coś nieprzyjemnego. Otworzył wolno oczy i pierwszą rzeczą, jaką spostrzegł, była ciemna masa, która zdawała się go przygniatać. Było to górne łóżko.

Stuk, huk, hałas, wszystkie odgłosy pociągu, które jednostajnym rytmem ukołysały go do snu, brzmiały i nadal, lecz w miarę, jak słuchał, ulegały pewnej zmianie: koła poruszały się wolniej, przez cały pociąg przebiegało drżenie.

Jak zimno było w przedziale!

Klaudjusz dostał dreszczów. Otulił się szczelnie w kołdrę i klął z cicha. Co za przeklęty ziąb.

Wtem, jakiś urywany hałas przebudził go z odrętwienia. Walczył przez chwilę z półsnem, poczem zerwał się na równe nogi, uderzając głową o górne posłanie. Jął rozcierać czoło, zastanawiając się, dlaczego w przedziale jest tak zimno. Zauważył otwarte drzwi, kołyszące się na zawiasach.

— Nie zasnę, o ile ich nie zamknę — pomyślał.

Wyciągnął rękę i zapalił światło. Następnie podszedł do drzwi. Spojrzał na górne łóżko, i ku swojemu wielkiemu zdumieniu przekonał się, że było puste.

Przedział posiadał ten sam wygląd, co i przed położeniem się obu mężczyzn. Ubrania kołysały się na wieszakach, walizy znajdowały się w siatkach, worki w tym samym kącie. Najwidoczniej, Euana Mac Tavisha obudziło zimno i wyszedł na poszukiwanie konduktora, ażeby kazać ogrzać wagony.

W tej chwili zatrzymał się pociąg z przeraźliwym zgrzytem. Klaudjusz jął nadsłuchiwać. Najrozmaitsze szmery dochodziły z korytarza; musiały być drzwi otwarte, albo okno. Klaudjusz wyszedł z przedziału i zaczął się rozglądać, poszukując Euana. Nie było go nigdzie, wrócił więc, zamykając drzwi za sobą. Następnie spojrzał na zegarek, który wskazywał godzinę czwartą. Usiadł, odsunął roletę przy oknie, lecz szyba była pokryta szronem; otworzył okno i wychylił się.

(D. c. n.).

JÓZEF BORKOWSKI (kpt. — I oficer s s „Tczew").

2) „TCZEW" UWIĘZIONY W LODACH

(WRAŻENIA MARYNARZA)

Wiatr nie traci na swej mocy, a napór lodów staje się coraz gwałtowniejszy. W odległości paru mil widzimy światła jakiegoś dużego parowca albo wojennego statku, posuwającego się wolno w stronę Kielu. Raz w raz ryczy nasza syrena, wzywając pomocy. Wiatr odnosi nasze sygnały w przeciwną stronę — w stronę fatalnego dla nas brzegu. Z pokładu sycząc, wzbija się do góry rakieta, za nią druga — palimy ognie pilotowe. Wszystko na nic. Okręt albo nie słyszał i nie widział naszych sygnałów, albo nie mógł nam przyjść z pomocą.

Zaprzestajemy wreszcie bezskutecznej walki, albo zostaniemy wyrzuceni na ląd, albo same zwały lodowe nas zatrzymają. Ta druga alternatywa okazuje się słuszną. Statek napotyka spiętrzoną w górę lodową krę i zatrzymuje się wreszcie, powiększając odległość swego miejsca od upragnionego Kielu o kilkanaście mil.

Nazajutrz, 10 lutego, po rozejrzeniu się w sytuacji, widzimy, że jest poważną, a conajmniej pożałowania godną. Statek otoczony zwałami kry i skuty lodem na „amen". Zwały kry sięgają niemal wysokości burty. Absolutny brak prowiantu pogarsza sytuację. Najbliższy port Kiel, który może mógłby przyjść nam z pomocą, nie wie nic o nas. Wywieszamy flagowe sygnały, wzywając natychmiastowej pomocy. Mamy słabą, bardzo słabą nadzieję, że z odległej o kilka mil latarni morskiej zobaczą nasz sygnał, lub domyślą się przynajmniej o naszem katastrofalnem położeniu. Lecz czy zobaczą? czy się domyślą? Niczego innego spodziewać się nie możemy, stoimy bowiem w głębi zatoki, dokąd żaden ze statków ratowniczych bez potrzeby nie zajrzy. Decyduję się więc za zgodą kapitana na ekspedycję przez lód na ląd. Po „obiedzie", składającym się z jedynej „nagiej" zupki, wybieram 2 ochotników z załogi i wyruszamy w drogę.

Przy silnym mrozie i przejmującym wschodnim wietrze docieramy wreszcie po kilku godzinach prawdziwie uciążliwej drogi do brzegu. Lecz tu nowe niepowodzenie. W malutkiej przybrzeżnej wiosce wywołaliśmy swojem przybyciem najwyższe zdumienie, a co zatem idzie — współczucie, każdy z tych biedaków starał się w czemkolwiek nam pomóc, ale cóż, kiedy o zaopatrzeniu się tu w prowiant nie mogło być mowy, a głównie — jedyny telefon z powodu niedzieli nieczynny. Bez namysłu wyruszam z marynarzami dalej do najbliższego, odległego o 6 klm. miasteczka Karby. Połowa polnej drogi do szosy jest kompletnie zaniesiona śniegiem, śnieżyca trwa nadal, brniemy więc po kolana w śniegu, jak widma rozbitków Napoleońskiej armji. Wreszcie szosa, a w pół godziny później — Karby. Wchodzę do jedynego w miasteczku zajazdu „Banhofs-Hotel". Telefon na miejscu i czynny. Łączę się ze światem, zawiadamiam naszego agenta w Kielu o rozpaczliwem położeniu statku i załogi, nadaję depeszę do „Żeglugi" i... narzucamy się na upragnioną gorącą kolację i zbawienny grog. Zmęczeni, głodni i zmarznięci jesteśmy do ostatnich granic. Wkrótce jednak zapominam o przebytej drodze, nie myślę o koniecznym nazajutrz powrocie, cieszy mnie to, że tam, skąd możemy czekać pomocy, już wiedzą o nas, a możliwe, że już w tej chwili czynią się pewne kroki dla przyjścia nam z pomocą. Teraz nawet ten ciepły niemiecki lokal przy hotelu wydaje się miłym, tembardziej, że wszyscy niemcy prześcigają się w wyrazach bądź to sympatji, bądź-to współczucia dla „rozbitka". Naraz zdumiewa mnie widok dwóch nowoprzybyłych marynarzy ze statku. Przynoszą nową, hiobową wiadomość. Po opuszczeniu przez nas statku o godz. 14-ej atak lodów na statek był tak potężny, iż ster nie wytrzymał naporu większej kry i złamał się w górnem mocowaniu. Nowa hawarja i tym razem już b. poważna. Statek bez steru w podobnych warunkach jest skazany całkowicie na łaskę losu. Aby się wydostać z lodów, potrzebujemy już teraz holowników. Łączę się natychmiast z agentem, prosząc o telegraficzne zawiadomienie „Żeglugi" o nowym stanie rzeczy, oraz o poczynienie ze swej strony wszelkich starań rychłego wydostania nas z lodów i natychmiastowego ratowania załogi przed głodem.

Pozostaję na noc w hotelu. Na drugi dzień dowiaduję się przez telefon, że narazie żadna akcja ratunkowa w celu wydobycia nas z lodów nie może być podjęta. Lodołamacze stoją w kanale zamarznięte, pancerniki zaś z powodu grubego w tem miejscu lodu nie mogą nam przyjść z pomocą. Kierownictwo Marynarki w Kielu postanowiło tymczasem pozostawić „Tczew" swojemu losowi. Natomiast zaopatrywanie załogi w prowiant będzie się odbywało za pomocą aeroplanów. Trudno! na to już niema rady, zresztą prócz głodu, żadne niebezpieczeństwo nam narazie nie grozi.

Po południu, obładowani workami, wracamy na statek, aby pocieszyć i wiadomościami i prowiantem naszych towarzyszy niedoli, którzy zapewne oczekują nas i naszych zakupów z niecierpliwością. Spieszymy więc w drogę. Powrót do brzegu jest w porównaniu do odbytej poprzedniego dnia drogi — komfortowy: mamy wóz i konia. Lecz od brzegu znowu rozpoczyna się mordęga. Każdy z nas ma teraz do dźwigania conajmniej kilkunastokilowy worek, przytem silny wiatr z przodu nie ułatwia bynajmniej drogi. Mgła i drobny śnieg zakrywają horyzont, więc statku nie widzimy wcale i tylko podawany co pewien czas ze statku sygnał syreną pozwala nam orjentować się w kierunku. Zawieja śnieżna trwa nadal, zwały kry zasypywane śniegiem stają się coraz trudniejsze do przebycia. Dobijamy wreszcie szczęśliwie do statku, witani owacyjnie przez całą załogę. Przypuszczam jednak, że to nie my, lecz widok załadowanych worków był prawdziwą przyczyną tej radości. Zdaję szczegółową relację kapitanowi z wyników i przebiegu wyprawy i dowiaduję się, że już tego dnia w południe szybował nad statkiem aeroplan.

12 lutego wobec mgły nikt nam nie zakłóca naszego spokoju, więc na wypadek ewentualnego przylotu aeroplanu układamy węglem napisy na lodzie, prosząc o potrzebniejsze artykuły. Skutek napisów nie każe na siebie długo czekać, już następnego dnia ten sam aeroplan zrzuca nam na lód obok statku 4 worki z prowiantem. Radość i zachwyt załogi z tego oryginalnego sposobu zaprowiantowania niezwykły.

Zabieramy „mannę" na statek. Niestety, potrzebniejszych artykułów jest zbyt mało, więc 14-go organizuje się nowa ekspedycja z II oficerem na czele. Wyruszają o świcie. Współczuję im, lecz wolę pozostać na statku. W niespełna kwadrans spotyka ich pierwsze niepowodzenie. Jeden z marynarzy trafia między krami na cienki lód i wpada do wody; uratowany musi wracać na statek. Drugi marynarz wpada do wody niedaleko od lądu — suszy się więc już w wiosce. Spiesznie załatwiają konieczne zakupy, aby w tym jeszcze dniu wrócić na statek. W drodze powrotnej używa niespodziewanej kąpieli II oficer i dopiero po 2 godzinach przy 24° mrozu, cały w lodowej korze, powraca na statek. Dziwne to, że nikt z obu ekspedycji nietylko, że nie zgubił się gdzie pod lodem, ale nawet nie nabawił się tak popularnej dziś grypy. Pasażer duńczyk, który z konieczności zdecydował się towarzyszyć drugiej ekspedycji, uszczęśliwiony pozostał na lądzie, nie wiedząc, jak dziękować marynarzom za ułatwienie mu dostania się choć i na obcy, lecz twardy i pewny ląd. Tą drugą ekspedycją zakończyły się nasze wyprawy: — trwająca przez 5 dni śnieżyca pokryła przestrzeń, dzielącą nas od brzegu grubą warstwą śniegu.

Wyprawy te jednak, jakkolwiek ryzykowne, okazały się dla nas zbawienne, wobec niemożliwości z powodu trwającej wciąż niepogody zaopatrywania nas w żywność drogą powietrzną. Przez 3 dni nie zjawił się żaden aeroplan. Prowiant pomimo skrzętnej gospodarki i zmniejszonych racji znowu się wyczerpał. Smętnie spoglądając w górę, oczekujemy zjawienia się naszych powietrznych przyjaciół.

17-go wreszcie spada oczekiwana „manna" w postaci mięsa i chleba z nadzwyczajnym dodatkiem kilku paczek tytoniu i niemieckich gazet. Salutujemy lotnikom na pożegnanie banderą, a następnego dnia ukazuje się ułożony przez nas węglem na lodzie ogromne „besten Dank". Bo i rzeczywiście ogromnie jesteśmy im wdzięczni.

19-go lutego otrzymujemy pierwsze listy z Gdyni. Radość z tego powodu panuje na statku ogólna. Wszyscy dzielą się między sobą otrzymanemi wiadomościami. Bo trzeba też wiedzieć, że list dla marynarza to jest największe wydarzenie całego szeregu dni, a czasami i tygodni. Cóż mówić wtedy o nas, odciętych zupełnie od świata, — fakt otrzymania poczty został nawet zanotowany w „Dzienniku Okrętowym". Nastroje naraz zmieniają się, jak pod działaniem różdżki czarodziejskiej. Tym samym dniem datuje się rozpoczęcie prawdziwego zasypywania nas zapasami prowiantu. A więc leci: chleb, masło, wędliny, kawa, herbata, ba! nawet rum, tytoń i papierosy. Aeroplan, zniżając się na parę metrów nad lodem, zrzuca każdorazowo po kilka worków. W ciągu paru dni nasz pusty dotychczas magazyn zostaje tak obficie zaopatrzony, jak nigdy przedtem. Zapasy niektórych artykułów starczą przeszło na miesiąc. Wszelkiemi sposobami staramy się wyrazić lotnikom swą wdzięczność. Zdają się nas rozumieć, zataczając obok niewielkie koła i przesyłając nam ręką pozdrowienia. I znowu się opuszcza bandera na rufie — jest to najwyższy dowód podzięki i hołdu polskiego okrętu dla niemieckich pilotów.

21-go wraz z nowemi zapasami, spada paczka dawno oczekiwanych polskich gazet. Dowiadujemy się z nich, że w kraju są zaniepokojeni naszym losem, że jesteśmy już „głośni", a w opinji ogólnej, sądząc z artykułów, my, pod każdym względem skromni marynarze, urośliśmy na bohaterów. Dowodem takiej opinji jest chociażby adresowany na moje imię list nieznanej mi p. Irki, która przesyła „bohaterskiej załodze „Tczewa" serdeczne pozdrowienia z Lublina. Krótkie te słowa otuchy są naprawdę wzruszające. Zresztą załodze przypada do gustu narzucona jej rola bohaterów: dookoła rozradowane twarze, a oficerowi czytającemu zebranym głośno jeden z wielu artykułów co chwila przeszkadzają wybuchy głośnego, zdrowego śmiechu. A jednak tam daleko, w kraju, matki, żony, siostry tych śmiejących się beztroskich marynarzy, czytając ten sam artykuł, niejedno przesłały westchnienie, niejedną błagalną modlitwą prosząc Niebo o zlitowanie się nad nieszczęśliwymi rozbitkami. Przykro nam się robi na myśl, że nie możemy zawiadomić nikogo o tem, iż nie znajdujemy się bynajmniej aż „w obliczu śmierci wśród lodów".

Lecz i to zdawałoby się niewykonalne pragnienie staje się naraz możliwem. Aeroplan specjalnie przystosowany do lądowania na śniegu za pomocą płozów wynajduje wśród zwałów kry dogodną przestrzeń i dokonywa pomyślnej próby lądowania. Witani owacyjnie lotnicy odwiedzają statek. Niestety, niespodziewana ich wizyta zastaje nas nieprzygotowanymi do odesłania listów, wysyłamy więc tylko zawiadomienia o naszem dobrem zdrowiu i doskonałych humorach. Uważnie jednak, czytając te krótkie wzmianki, w każdym bodajże liście można było znaleźć smutną nutę tęsknoty. Odlatując, przyrzekają nam piloci ponownie wylądować w najbliższych dniach.

Wracamy do codziennych zajęć. Główną troską okrętu jest teraz zaopatrzenie go w słodką wodę, od tygodnia bowiem zapasy jej zostały wyczerpane. Radzimy sobie w ten sposób, że całemi dniami i nocami topimy śnieg, zlewając stopioną wodę do tanków.

Dziwny splot faktów: ten sam śnieg srogiej zimy, winnej naszego położenia, ten sam śnieg, który przez pewien czas nie pozwalał nas prowiantować — dziś ratuje nas z ciężkiej sytuacji, wytworzonej brakiem słodkiej wody. Topieniem śniegu i oczekiwaniem aeroplanów skracamy sobie nudy codziennego życia więźniów.

W kilka dni po pierwszem lądowaniu przywożą lotnicy ze sobą berlińskiego korespondenta „Expresu Porannego" — autora alarmujących artykułów w prasie warszawskiej. Przyleciał, aby naocznie przekonać się o naszem „tragicznem" położeniu, lecz musiał zapewne przyjść do przekonania, iż postój w lodach i zbieranie obfitej „manny" nie należy do rzędu bohaterskich czynów i że raczej należy nas traktować jako skazańców, a nie bohaterów. Żegnając miłego gościa, mieliśmy smutne miny. Kto wie, jak długo jeszcze zostaniemy na łasce losu i opiece aeroplanów?

A dookoła ten sam widok zwałów kry, ta sama jednostajność śnieżnych pól.

. . . .

Nie dokuczyła Ci jeszcze Marylko ta „lodowa" epopea? Bo mnie już dokuczyła. Nie zdążyłem skończyć jej przed następnem lądowaniem, więc teraz muszę przygotować ją do ekspedycji powietrznej przy najbliższej okazji. A dziś właśnie czekamy na naszych przyjaciół.

(D. c. n.).

☆ ☆ ☆